

Tchórz i kłamca

Krąg Vendariona: Pan Upiór

Autor: Piotr Grochowski

/Budynek Vendaryjskiej Agencji Bezpieczeństwa, Memoria, rok 63./

„Ależ z ciebie cholerny tchórz, Toby”, pomyślał o sobie Tobias Wallace. Cud, że dzięki państwowemu szkoleniu i sztuczkom wpojonym przez Burzomysła nie trząś się teraz jak osika. „Fizycznie jestem w porządku, ale to, co dzieje się w mojej głowie...”.

Siedział w przestronnym, jasnym gabinecie, w wygodnym fotelu, z nogą założoną na nogę. Garnitur Tobiasa, z miękkiego kontynentalnego materiału, był pierwszorzędnie dopasowany, a krawat zakupiony w centrum kosztował krocie. Chustka spoczywała w kieszeni spodni. „To wszystko, to jedno wielkie kłamstwo”, szepnął w duchu. „Skończcie tę grę, niech całość stanie się jasna i klarowna, a ja nareszcie będę mógł zacząć uciekać”.

– Agent Tobias J. Wallace – odezwał się czarnowłosy mężczyzna siedzący naprzeciwko. Zaciągnął się papierosem i wydmuchał olbrzymie ilości szarozielonego dymu. Całe pomieszczenie było nim wypełnione. – To pana dziesiąty rok w służbach bezpieczeństwa.

Toby zmarszczył brwi. „Mam potwierdzać to, co oczywiste?”. Ciemnowłosy świdrował go wzrokiem, więc po prostu skinął.

– Wnikliwie zbadaliśmy jej przebieg, obserwowaliśmy pana od dłuższego czasu.

„Wyśmienicie, psiakrew”.

– Poza jednym wydarzeniem... – mówiący zawiesił głos, odsunął papierosa trzymając go dwoma palcami i wypuścił dym kącikiem ust – wszystko jak „od linijki”. Dziwne, co?

– Słucham? – mruknął Toby. „Czy to już?”, zastanowił się. Lewą dłoń delikatnie przesunął na udo.

– Wie pan, mam spore doświadczenie w ocenianiu ludzi – rzekł ciemnowłosy, poprawiając się na fotelu, a na jego twarzy pojawił się, być może udawany, wyraz zadumy.

Tobias milczał.

– Uważam, że to pojedyncze, czasami bardzo trudne, chwile budują nas, jako jednostki ludzkie. Wtedy dopiero, w wyjątkowych sytuacjach, mamy okazję przyjrzeć się sobie samym. Jak – mężczyzna szukał słowa – w zwierciadle.

Tobias mimowolnie potaknął. Czarnowłosy znów wypuścił dym, zmarszczył nos i kontynuował, wyciszając:

– Tak więc, rok pięćdziesiąty dziewiąty. Drugi rok po akademii, służba próbna, jako agent uzupełniający; przydział, w Memorii. Miał pan partnera z podobnym stażem. Byliście blisko?

Toby mrugnął. Na moment zamiast strachu poczuł smutek, ból. „Co, do cholery, dlaczego chcesz wiedzieć akurat to?”.

– Pytałem, czy byliście przyjaciółmi.

– Tak – odpowiedział Tobias. – Nasze narzeczone się przyjaźniły. Mieliśmy wspólne towarzystwo. Czy to ma znaczenie?

– Wszystko, agencie Wallace – odparł ciemnowłosy, uśmiechając się delikatnie. – Wszystko ma znaczenie. Czy jest coś, co chciałby pan dodać do złożonego wtedy raportu? Jakież szczegóły?

– Nie sądzę. Chyba wiecie wszystko.

– Taaak.... – Czarnowłosy udał, że wnikliwie przygląda się aktom rozłożonym na stole. – Prowadziliście obserwację mieszkania. Kamienica miała należeć do jednego z ludzi związanych z rodziną Da Vinanti. To była operacja Agencji bez udziału lokalnych strażników. Trochę to trwało, a wy się nudziliście...

– Więc? – Toerien zawiesił głos. – Jak się panu podoba?

Agent specjalny Brion Kroeger spojrział na swojego asystenta, skrzywił się i wydał wargi. Nie odpowiedział mu, powrócił wzrokiem w kierunku ekranu, na którym widać było pokój. Kamerę ukryto przed wzrokiem rozmawiających, no przynajmniej jednego z nich. Wysoki, ciemnowłosy agent specjalny, palący czarnego *sangoriana*, nazywał się Cornelissen i właśnie przepytывał kolejnego człowieka. Niejaki Wallace był typowym „każdym” – wysokim, postawnym mężczyzną o trudnych do zapamiętania rysach twarzy, jasnych włosach i wydatnej szczęce. Tak wyglądały dwie trzecie mieszkańców Vendarii. Czy akurat ten był poszukiwanym przez zespół Kroegera?

– Nie wydaje mi się, żeby musiał mi się „podoobać”, którykolwiek z nich – syknął Brion. – Wam, Toerien także radzę nie mieszać w to estetyki lub uczuć.

Strofowany agent poczerwieniał. Zaczął się tłumaczyć:

– Źle się wyraziłem, niezbyt precyzyjnie ująłem to...

– Precyzja to rzecz najistotniejsza. Powinniście to wiedzieć.

– Tak jest. Najmocniej przepraszam – przytaknął Toerien.

Brion uciszył go gestem dłoni. W obserwowanym i podsłuchiwanym pokoju trwała rozmowa, od której wiele zależało. Może i niejedna kariera?

/Stare Mury, Memoria, rok 59./

Miasto dopadła kolejna burza. Lało niemiłosiernie, deszcz uderzał o bruk, o asfalt, o karoserie zaparkowanych aut, nie zamierzał zelżeć. Niewiele było widać. Nie wybiła jeszcze *godzina czatowników*, ale dzięki pogodzie zdawać się mogło, że zapadł już zmrok. Ze strażniczego radia dobiegały co jakiś czas standardowe komunikaty, a wiszący tuż pod sufitem ręczny odbiornik, zapewniający łączność z pozostałymi agentami, milczał. Za to myśli Tobiasa Wallace'a tłukły się wewnątrz jego głowy, galopowały, rzucały się szaleńczo we wszystkie strony.

„Jesteś cholernym tchórzem”, powtarzał sobie raz po raz, ale to nie pomagało. Musiał to w końcu zrobić.

– Kupiłbym go, Toby. Niech mnie pokręci, ale chcę go mieć – usłyszał głos należący do swojego partnera.

Kurt Malaan, siedzący obok, uśmiechnął się szeroko. Poprawił kapelusz lekko nasunięty na jasne włosy i spojrzał pytająco.

– Nie pomożesz mi, co?

Tobias przeciągnął się, poprawił na fotelu, potarł kark, a potem dotknął palcem wskazującym skroni.

– Nie potrzebujesz go – rzucił. – Trzy kroki od domu macie kino.

– Cholera. Kino? Masz mnie za tłuca? Przecież to zupełna bzdura. Moja stuletnia ciotka mogłaby użyć tego argumentu.

– Wiele osób używa „tego argumentu”.

– „Wiele osób” twierdziło, że nie da się spacerować po Semilunie.

– Skakać – zaśmiał się Tobias.

– Dobrze wiesz, o czym mówię. Tysiące hamują postęp, jednostki prą przed siebie. – W głosie Kurta słychać było zapał.

– To jakiś cytat? Dużo ostatnio czytasz...

– To prawda. Po prostu. Chcę go mieć w domu, będę mógł oglądać Jahna Smuttsa spacerującego i – Kurt spojrzał z ukosa na Tobiasa – niech ci będzie, fikającego koziołki na Semilunie Trzy.

Przez chwilę obydwaj milczeli. Pierwszy odezwał się Tobias:

– Decyzja podjęta?

Kurt westchnął i odpowiedział ze smutkiem w głosie:

– Chyba jednak nie. Emilia przekonuje mnie, że najpierw...

Toby nie słuchał dalej. „Emilia, niech mnie. A ja się łudziłem, że rozmawiamy o.... To się nie skończy, póki mu nie powiem”. Zacisnął szczęki. Na moment zamknął oczy. Pod powiekami przemknął mu obraz – drobna, szczupła brunetka z krwisto czerwonymi ustami, uśmiechała się... „Powiem mu...”.

Wtedy odezwało się wiszące pod sufitem radio:

– Dwa dwanaście, dwa dwanaście...

Kurt ujął komunikator w dłoń i przycisnął guzik umieszczony na obudowie.

– Tu dwa dwanaście. U nas cisza i spokój.

– W porządku – trzeszczący głos zrobił pauzę, po czym odezwał się ponownie: –

Według mnie, na dziś to wszystko. Możecie się zwijać...

Kurt uśmiechnął się. Ich przełożony kontynuował:

– Jeszcze tylko upewnijcie się czy w mieszkaniu rzeczywiście jest pusto.

Toby skrzywił się. Kurt zaczął protestować:

– Przecież, dopiero co powiedziałaś...

– Słuchajcie, dwa dwanaście. Zespół z dziesiątki ujął podejrzanego, więc jest praktycznie pewne, że w pozostałych lokalizacjach nie mamy czego szukać, ale nie chcę, żeby Malcolm Rudyard urwał mi głowę. A tak będzie, jeśli wszystko nie zostanie sprawdzone. To standardowa procedura. Czy to jasne?

Deszcz dudnił po karoserii. Kurt Malaan przytknął czoło do szyby i wyjrzał za okno.

– Jasne... Wchodzimy... Bez odbioru. – Ściągnął palec z przycisku i, krzywiąc się, dodał: – Jasne, jak pieprzone słońce, którego tutaj, w Memorii, nijak nie uświadczysz...

Tobias pokiwał głową, odruchowo poprawiając zapięcie kabury umieszczonej pod prawym ramieniem.

Do mieszkania na pierwszym piętrze można się było dostać przez ciemną klatkę schodową. Wewnątrz było cicho, a światło księżyca nie było w stanie przebić się przez gęste chmury. Trudny do wyjaśnienia niepokój dopadł Tobiasa, gdy znaleźli się przy drzwiach. Kurt nacisnął klamkę, a potem wyjął etui zawierające wytrychy i zabrał się za majstrowanie przy zamku. Tobias wskazał na radio, które Kurt zawiesił przy pasku spodni, ale partner pokręcił głową i bezgłośnie poruszył wargami: „Sprawdźmy...”.

Drzwi stanęły otworem. Tobias zawahał się, skrzywił, ale potaknął. Wyciągnęli szybkostrzelne pistolety, zapalili latarki. Wedle wyuczonego schematu weszli do środka mieszkania – Kurt przodem, Toby zaraz za nim, ubezpieczając.

Po krótkiej chwili ustalili najistotniejsze – było pusto. Trzypokojowe mieszkanie zapełniały stare, dobrze utrzymane meble, zapewne cenne. Tapeta była jasna, w roślinne wzory. Lokum sprzątano od czasu do czasu, czuć było zapach aromatycznych ziół, więc ktoś mieszkał tutaj, może pomieszkiwał.

Schowali broń. Kurt przekazał radio Tobiasowi, który podszedł do dużego okna w salonie. Wyjrzał przez szybę na rozległy taras, a dalej na ogromny dziedziniec.

– Centrala, tu dwa dwanaście – wywołał agenta prowadzącego. – Chciałbym złożyć raport.

Tobias odwrócił głowę w kierunku wejścia do dużego pokoju. W progu stał jego partner, latarką wodził po ścianach salonu. Za plecami Kurta pojawił się człowiek – widać było wyraźnie wychudłą, bladą twarz z delikatnym wąsikiem. Błysnęło ostrze. Nieznajomy chwycił Kurta za czoło i przeciął mu gardło – przerażająco szybko i sprawnie. Bryznęła krew. Tobias wyszarpnął pistolet z kabury i wymierzył, ale zabójca zasłaniał się drgającym i krwawiącym ciałem. Na klatce schodowej zadudniły kroki.

Tobias z bezradnością spojrzał na radio. Bładolicy przywarł do pleców konającego Kurta i ruszył w przód, w kierunku środka salonu. Pchnął bezwładne ciało w stronę Tobiasa i wysunął zza pleców kolejne ostrze, długie i zakrzywione. Ktoś z głośnym traskiem wdarł się do mieszkania.

Tobias uskoczył i zaczął strzelać. Zabójca rzucił mniejszym nożem. Obydwaj chybili, kule utkwily w ścianach i suficie, ostrze wbiło się we framugę. W drzwiach salonu stanął mężczyzna w ciężkim płaszczu z obszernym kołnierzem, w rękach trzymał strzelbę.

Huk wystrzału zlał się z dźwiękiem tłuczonego szkła. Tobias wypadł na taras, deszcz od razu zmoczył mu włosy, śrut smagnął po ramieniu. Poczul kłujący ból, na twarzy miał odłamki szkła i drzazgi. Kolejny wystrzał. Tobias dopadł kamiennej barierki i niewiele myśląc, skoczył w dół. Z prawej ręki wypadło mu radio, druga zupełnie bezwładna dłoń wypuściła pistolet. Uderzenie o mokrą murawę wydusiło mu oddech z płuc. Zabolalo jak cholera.

Leżał tak całą wieczność, klnąc w duchu. Przed oczyma miał twarze, nakładały się na siebie: bladolicy z wąsem, Kurt z krwawoczerwonym gardłem i Emilia z krwawoczerwonymi ustami.

Dźwignął się z trudem i ruszył przed siebie. Obok przemknęła kolejna porcja śrutu, zagrzmiął wystrzał. Tobias poczul ból w okolicach nerek, ale nie odwrócił głowy. Zmusił się do biegu przez środek podwórza, przez zniszczony ogród, po bruku, błocie i trawie. W oddali ci, którzy zabili Kurta kłęli, krzyczeli coś zduszonymi głosami.

„Tchórz! Czyżby krzyczeli tchórz?”. Tobias nie był pewien. Wbiegł w boczną alejkę, wąską i pokrytą odpadkami, poślizgnął się i uderzył głową o ceglana ścianę. Błysnęło mu przed oczami.

Stali nieopodal, rozmawiając. Tobias widział podwójnie, niewyraźnie, jak przez mgłę. Wszystko spowijała błękitna poświata. Wewnątrz alejki deszcz nie padał, woda spływała po ścianach, pluskała dookoła. Powoli i delikatnie, starając się zachowywać jak najciszej, chwycił brezent leżący obok i naciągnął go na głowę. „Ty cholerny tchórz”, cedził w

myślach. „Co robisz? Wracaj tam, dokonaj aresztowania”. Mimo to kulił się pod poażowania godną osłoną.

– Czemuś to zrobił, idioto? – dobiegł go niski głos. – Miałeś tylko siedzieć cicho. Oni by sobie weszli, sprawdzili i poszli w cholere...

Odpowiedział mu drugi głos, wyższy, ze śpiewnym kontynentalnym akcentem:

– Stul dziób, cynglu. Ja decyduję, kogo oszczędzam, a kogo zabijam. Nie twój biznes. Mieliście mnie ubezpieczać. To wszystko. Twoje porady nie są mi potrzebne. Za głupi jesteś, by to pojąć.

Zapadła chwilowa cisza.

– Teraz wszystko się zjechało – ponowił niski głos. – Trzeba to posprzątać. Gerth przeszukał zwłoki. To agenci безпеki.

– Co z tego? – syknął ten drugi. – Twój szef zapłaci komu trzeba i smród się rozwieje. Tylko znajdź mi drania. Mówiłeś, że go trafiłeś. Gdzie jest?

Zbliżyli się, Tobias wstrzymał oddech. Namacał prawą ręką kawałek kija, jakiś drewniany drążek lub coś podobnego. Wiedział, że zaraz go dopadną.

Brnęli w odpadkach i wymieniali uwagi. Niższy głos tłumaczył:

– Musiał tędy pobiec, bo dwóch moich sprawdziło następną ulicę. Nie wy dostał się z podwórza, nie wyszedł na zewnątrz.

Zatrzymali się tuż obok. Toby zacisnął palce na kiju.

– Śmieci, pobrudzę sobie nowe buty – warknął niższy głos. Szarpnięcie zerwało brezent z głowy Tobiasa.

W tej jednej sekundzie, w której powinien uderzyć, zawahał się. Znów. „Tchórz”. Było za późno, więc po prostu zamknął oczy. Głos ze śpiewnym akcentem zapytał:

– Więc?

Tobias powoli uniósł powieki. Stali nad nim. Patrzyli na niego, ale ich oczy zdawały się go nie dostrzegać – znudzone, zmęczone i rozczarowane. „Co jest, cholera?”.

– Jest tu trochę krwi, ale człowieka nie widać...

Jak to możliwe? Przecież patrzyli na Tobiasa. Co właśnie się działo?

Bładolicy mrugnął oczami, położył dłoń na ramieniu dobrze zbudowanego mężczyzny w płaszczu i zapytał:

– Czujesz to? Ten zapach?

– Śmierdzi, jak to na śmietniku – wyjaśnił zapytany.

– Nie w tym rzecz... Zresztą pewnie i tak...

Mężczyzna w płaszczu przekrzywił głowę i spojrzął na rozmówcę z drwiącym uśmiechem.

– Bo jestem zbyt tępy. Tak, wiem, wiem.

Bladolicy pokręcił głową i machnął ręką. Wtedy Tobias zadrżał i zaczął unosić się, najpierw na kolana, a potem, opierając się o ścianę, wstał zupełnie.

– Co to? Słyszałeś? – zapytał ten w płaszczu, rozglądając się.

Tobias zacisnął wargi i zamierzył się kijem.

Sorensen, bo tak chyba nazywał się cyngiel w płaszczu, zgiął się wpół, jęknął głucho. Jedną ręką odruchowo osłonił się przed niewidzialnym ciosem. Spod mokrych włosów popłynęła mu strużka krwi.

Idril odsunął się o krok, próbując pojąć, co właściwie się stało. Rozglądnął się bezradnie, wyciągając przed siebie długie, zakrzywione ostrze *kaharry*. Znowu stuknęło głucho. Pod cynglem ugięły się nogi, z rozciątego łuku brwiowego pociekła mu krew. Upadając, wystrzelił. Zagrzmiął huk, zwielokrotniony przez ciasnotę alejki. Ogłuszony Idril oparł się dłonią o mokrą ścianę, zacisnął powieki, zamrugał i zaczął uciekać w kierunku podwórza.

Po kilku krokach odwrócił się. Wtedy zobaczył jak Sorensen, leżąc na plecach wśród odpadków i śmieci, miota się i zasłania rękoma. Ale nie było nad nim widać żadnego napastnika. Natomiast słysząc było uderzenia, trzaski i jęki.

Idril dopadł do rogu, spojrzał raz jeszcze za siebie. Cyngiel leżał nieruchomo z rozrzuconymi na boki ramionami.

Na środku zalanego deszczem podwórza Idril natknął się na kolejnego z cyngli, przywołał go gestem dłoni. Przez moment zastanawiał się, po czym krzyknął:

– Drugi strażnik jest w alejce. – Wskazał kierunek. – Załatwił Sorensena.

Mężczyzna w czarnej, skórzanej kurtce wymierzył broń w wylot alejki i zaczął biec. Idril próbował sobie przypomnieć: „Ilu ludzi miał Sorensen? Trzech? A może mówił o czterech? Na Otchłań, co za bałagan”.

Błysnęło. Zagrzmiął wystrzał. Cyngiel w kurtce przewrócił się i skulił na bruku, tuż obok zniszczonego klombu. Po krótkiej chwili nad leżącym, na wysokości jakichś dwóch łokci, błysnęło ponownie. Piers cyngla eksplodowała krwią.

Idril zmrużył oczy. Przyjrzał się, usiłując przebić wzrokiem otaczające go ciemności, zlokalizować jakiś szczegół pośród padającego deszczu. Obok zwłok ktoś stał. Deszcz obmywał kształt ciała. Ale sama postać była niewidzialna. Wtedy Idril zrozumiał. Przypomniat sobie vinantyjskie bajki, opowieści piastunek o czarodziejach, iluzjach i znikających ludziach. Zrozumiał, że to, co czuł w alejce – dziwaczy zapach, ostry, drażniący nozdrza – był tym samym, który czuł w dzieciństwie. Wtedy to, w rodzinnym majątku, dwa dni drogi od Vinantium ciotka Idrila, stara Meliel Da Pazzo, pokazywała mu tajemne miejsca, poła

eliksirami i uczyła zakazanych zaklęć. Co ona wtedy mówiła? „Tak pachnie Magia, mój drogi. To zapach Magii...”.

Jeszcze jeden wystrzał. Idril mrugnął, lewą ręką odgarnął z twarzy mokre włosy, w prawej mocniej ścisnął *kaharrę*. Dziesięć kroków w lewo następny z cyngli został trafiony przez niewidzialnego człowieka. Gdzieś w oddali dały się słyszeć syreny.

– No chodź, przeklęty dziwaku! – wrzasnął Idril. – Odmieńcu. Takich jak ty...

Błysnęło mu przed oczami. Coś z ogromną siłą trafiło go w brzuch, zgięło w pół. Padł na kolana, ostrze wypadło mu z rozedrganej dłoni. Poczł ciepło spływające na uda, z trudem wyprostował plecy, zadarł głowę. Chyba nie czuł bólu. Krople deszczu, a może łzy, spływały mu po policzkach. Zamykał i otwierał oczy, a serce tłukło mu się w uszach.

Po jakimś czasie chłodny metal dotknął jego czoła. Bardzo wyraźnie, z bliska, czuł „zapach Magii”.

/Budynek Vendaryjskiej Agencji Bezpieczeństwa, Memoria, rok 63./

Czarnowłosy odpalił kolejnego papierosa. Cholera, musiał to lubić. Nie palił jak każdy, on delektował się dymem, smakiem. Tobias śledził wzrokiem smugi wijące się pod sufitem.

– Strata partnera to poważna sprawa... Ale, jak wspomniałem, szukamy u naszych ludzi tych właśnie momentów. Analizujemy te potknięcia, te problemy, czasem i tragedie. Obserwujemy ich reakcje. Spodobała nam się pańska, agencie Wallace.

– Doprawdy? – Tobias uniósł brew. Pod palcami poczuł materiał chustki.

– Mam na myśli to, co działo się po urlopie. To oczywiste, że początkowo chciał pan porzucić służbę. Poszukujemy ludzi, nie golemów. Cenimy uczucia, świadomość swego działania, motywacje. – Ciemnowłosy zmrużył oczy. – I ta sprawa z panną Emilią Cordier...

Tobias zacisnął usta.

– Nie poszukujemy golemów, jak już mówiłem... Najważniejsze, że chciał pan służyć dalej. I od tamtych smutnych wydarzeń był pan bezbłędny i niezwykle skuteczny. To robi wrażenie. W wydziale zorganizowanej przestępczości mają o panu bardzo dobre zdanie. Aresztowania wśród Da Vinantich, zlikwidowanie Paoliona Visariego, z drugiej strony rozbięcie kasyn należących do Guriona Nasiriego...

– Nie udowodniliśmy powiązań... – przerwał mu Tobias. – Ale o czym właściwie mówimy?

– O propozycji pracy, stanowiska, o szansie... – wyliczał ciemnowłosy.

„Uwaga”.

– Tworzymy specjalną grupę agentów, rekrutujemy ludzi. Najlepszych z najlepszych. Specjalistów z różnorodnych dziedzin.

Tobias uśmiechnął się w duchu, strach, uprzednio trzymający go w ryzach, powoli zaczął się ulatniać. „Może rzeczywiście nie chodzi im o mnie... Najlepsi? Po zdziętkowaniu specjalnej grupy dochodzeniowej Lidhmana, po tym, co się stało, gdy zaatakował Alchemik, po zabójstwach dokonanych przez Cienia, będziecie brać każdego w miarę rozgarniętego agenta. Staracie się opanować chaos. Co za blef...”

– Nie będę pana dłużej trzymał w niepewności, agencie Wallace. Wpadliśmy na trop Zamaskowanych, śledzimy ich, podsłuchujemy, ale nadal potrzebujemy naszych najlepszych, najszybszych i najsprawniejszych ludzi, by ująć tych anarchistów.

„Blefuje”. Tobias był pewien... Chociaż, może właśnie teraz zaczynał oszukiwać samego siebie? Coś zaczęło z powrotem pełznąć mu po kręgosłupie, delikatny skurcz chwycił go za wnętrzności. Nie, nie był pewien. Uśmiechnął się do ciemnowłosego, który właśnie gasił papierosa, zgniatając go w popielnicy.

– To będzie zaszczyt – odezwał się Tobias, kiwając głową. – To będzie wyjątkowa przyjemność pracować nad nowym, niezwykłym wyzwaniem.

W duchu zaś szepnął:

„Ależ z ciebie tchórz, Toby, cholerny tchórz”.

/Park Ber Eydena, Memoria, rok 63./

„Ależ z ciebie cholerny tchórz, Toby. Jesteś tutaj, pośród tłumu mieszkańców Memorii, żaden z nich nie jest w stanie cię dostrzec, a kulisz się ze strachu...”. Tobias rozglądał się nerwowo. Tłum w parku nie był czymś zwyczajnym, ale pogoda z lekka się poprawiła i ludzie korzystali z bezdeszczowego dnia. Okupowali ławki, spacerowali po placu, przemierzali wysypane żwirem alejki. Kobiety, mężczyźni, dzieci. Każde z nich mogło być agentem śledzącym podejrzanych. „Cholera, przecież oni cię nie widzą, nie mają pojęcia, że siedzisz na jednej z ławek, nawet pieprzony snajper... Snajper? Toby weź się w garść...”

Znajoma sylwetka pojawiła się wśród przechadzających się po placu. Tym razem łącznik ucharakteryzowany był na starszego niż w rzeczywistości, nosił perukę przyprószoną siwizną, nie ogolił twarzy. Ale to był on – Vincent. Przysiadł na wyznaczonej wcześniej ławce, tuż obok miejsca, w którym czekał Tobias. Wyjął kolorową gazetę, nabił i zapalił fajkę.

– Jestem – szepnął Tobias, stając za plecami Vincenta. Ten wzdrygnął się, choć oczekiwał sygnału. „Tak to już jest z niewidzialnymi ludźmi”, pomyślał Toby, lekko uśmiechając się pod nosem. „Nigdy nie wiesz, kiedy jeden z nich rozpocznie rozmowę, to musi być przerażające doświadczenie”.

Łącznik wydmuchał dym, budując zeń kilka dokładnych kółek. Odezwał się:

– Cieszymy się?

Toby nie odpowiedział.

– Pytałem, czy się cieszymy, Panie Upiorze. – Po wargach Vincenta błąkał się uśmiech.

„Cholerny Kasslich”. Tobias zasepił się. To ten bajkopisarz i jakże elokwentny redaktor wymyślił im miana. Twierdził, że powinny być sensowne, „mocne” i nieść przesłanie. W kolejnych wydaniach „Strażnika Memorii” pojawiły się wzmianki o zamaskowanych nieznajomych, walczących ze złem. Wesoły Pokutnik. Jeździec Burzy. Jednak nie wszystkie pseudonimy były nowe. Podczas wojny Krag Trzynastu współtworzyli oryginalni Kamiennoręki, Tarczownik i kobieta zwana Zjawą. Gdy Tobias wspomniał, że niezbyt podoba mu się miano, Fred Kasslich przemianował Zjawę na Pana Upiora. I tak zostało, psiakrew. Jakże „mocne”, niebywale sensowne – Pan Pierdolony Upiór.

Toby nabrał powietrza w płuca i wypuścił je nosem.

– Jestem w środku, Vince – szepnął.

– Cieszymy się, zatem. – Łącznik pyknął z fajki i dodał: – Czy może nie do końca?

Tobias odpowiedział po chwili zastanowienia:

– Musimy być ostrożni.

– Ty musisz być, przede wszystkim. Ale jakież zadanie bardziej pasowałoby Upiorowi?

Toby po raz kolejny zignorował złośliwość.

– Dowiem się, w jakiej kondycji są ich grupy, co na nas mają, jak wiele prawdy jest w ich przechwałkach.

– Ich?

– Nie przesadzaj. Nie musisz mi przypominać. To dla mnie wystarczająco trudne. Czuję to każdego dnia. Jakby cholerne przeznaczenie rozerwało moje życie na dwie części. Ślubowałem wierność, masz o tym jakiegokolwiek pojęcie? – Toby zadrzał, teraz już ze wściekłości. – No bo kim ty jesteś? Jakimś cholernym mózgowcem, któremu uratowano dupę. Ot wszystko. Nie musiałeś wybierać, stawać po jednej lub drugiej stronie. Miałeś szczęście...

Vincent milczał. Odezwał się po dłuższej chwili:

– Wybacz. Nie chciałem. Uwierz mi. To... moja niewyparzona gęba. W poprzednim życiu, zwłaszcza za młodu, nieraz mi ją obili, właśnie za coś takiego – powiedział ze smutkiem. – Wybacz. Szczerze doceniam to, co dla nas robisz, wszyscy jesteśmy pełni uznania dla twoich poświęceń...

Vincent coś jeszcze powiedział, kilka słów, ale Tobias już go nie słyszał – siedł przed siebie, roztrącając zaskoczonych ludzi. Ależ musiało to wyglądać. Uśmiechnął się złośliwie, odganiając ponury nastrój, strach i niepewność.

„Wszystko jest w porządku, Toby. Przecież jesteś Upiorem, cholernym Panem Upiorem”.

/Gdzieś w dzielnicy portowej, Memoria, rok 63./

Brion Kroeger zatrzymał wóz, uchylił drzwi i wpuścił do środka Cornelissena. Ten wygodnie usadowił się w miękkim skórzanym fotelu. Spojrzał na ręce Briona.

– Bez żartów – stwierdził. – Naprawdę. Czy mógłbyś tego nie robić?

Brion, nie przerywając zwijania bibułki, w której umieścił dokładnie odmierzoną działkę drogiego, czerwonego ziela, spojrział na Cornelissena ze zdziwieniem.

– A ty, czy mógłbyś wyrazić się nieco precyzyjniej? – mruknął i pochylił się lekko, po czym polizał brzegi bibuły i dokładnie obejrzał wykonanego papierosa.

– Będziesz palił? Teraz? Kiedy siedzę obok?

Brion skrzywił się.

– Niby czemu miałoby ci to przeszkadzać? Akurat tobie... Ty, od czasów szkoły, oddychasz dymem, a kiedy myślę o tobie, określenie nałogowy palacz to najłagodniejsza rzecz, jaka przychodzi mi do głowy...

– Mówiłem ci przez telefon...

Brion przerwał mu:

– Że musimy pogadać na osobności, pamiętam.

Cornelissen westchnął:

– Chyba już nigdy nie zapalę papierosa. To cholerstwo, które mi dałeś było ostatnie. Naprawdę ostatnie.

– Mówisz więc, że zadziałało?

– I to jak, do cholery. I to jak...

Brion spowaźniał, schował papierosa do metalowego pudełeczka.

– Mów.

– Jesteśmy w środku, Bri. Naprawdę w środku. – Cornelissen mówił z przejęciem. – Nie mam najmniejszych wątpliwości. Tobiasz J. Wallace jest jednym z nich.

– Jest Panem Upiorem? Zjawą?

– Jeśli połączyć wszystkie ślady, zeznania i tropy, to tak. Bezdyskusyjnie. – Cornelissen skrzywił się. – Dodając nasz test z dymem, jestem pewien.

– Jak to działa?

– Tak jak wspominał twój partner.

– Były partner. Max Lidhmann już nie jest agentem. Właściwie już nie jest... – Brion zająknął się.

Cornelissen uśmiechnął się smutno.

– Siedzimy w tym razem. Złamaliśmy każde możliwe prawo. Oszczędź sobie tajemnic i niedomówień. Głęboko w dupie mam teraz kim był i kim jest Lidhmann. – Wciągnął powietrze. – Chcesz wiedzieć?

Brion nie odezwał się.

– Kiedy wdychałem ten przeklęty dym, kiedy wypełnił moje płuca... on zawładnął mną. Mówił do mnie, cholera, odbijał mi się echem w czaszce. I pozwolił mi zrozumieć. Widziałem to, czego normalnie, zwykli ludzie nie dostrzegają. Widziałem delikatny, jakby to nazwać? Poblask. Aurę. Emanację.

– Nie jesteś jak inni – szepnął Brion. – Twoja krew...

– Na Otchłań – warknął Cornelissen. – Każdy ma w rodzinie shaeida. Każdy ma tę pieprzoną skazę. I każda z porządnych, vendaryjskich rodzin stara się ukryć ten ślad jak najgłębiej. Wielu się udaje...

– Tobie się udało. Nikt, poza mną, nie jest świadom...

– Prawda. – Cornelissen pokiwał głową. – Ale wiesz, mój drogi Bri, że nie siedziałbym tu teraz z tobą, nie pracowałbym dla waszej cholernej agencji...

– Musiałem. Nie miałem wyjścia. I, jakkolwiek to nazwiesz, może i szantażem, musiałem cię zaangażować. Masz ten przeklęty dar. Wielu ma rodzinne shaeidańskie piętna, ale niewielu dziedziczy je tak silnie. Te wszystkie rzeczy, artefakty, zaklęcia, zwoje, będą z tobą współpracowały. Możesz je wykorzystać, by nam pomóc. Pomóc mnie.

Cornelissen uśmiechnął się nieśmiało.

– Za to, co robimy, nie dadzą nam medalu...

– Za to, „co” robimy, dostaniemy multum medali. – Brion rozpromienił się. Zaraz potem dodał ze smutkiem: – Niemniej jednak, za to „jak” to robimy czeka nas sąd i stryczek. Może i stos. Chyba, że nikt się nie dowie...

– Przestałem w to wierzyć, kiedy zdałem sobie sprawę z jaką potęgą mamy do czynienia. Nie ukryjemy tego.

Brion chwycił przyjaciela za rękę i potrząsnął.

– Uda nam się. Położymy temu kres. Mawiają: „ogień, ogniem zwalczaj”. Tak właśnie robimy i będziemy tak robić nadal. – Potarł czoło. – Tak więc Pan Upiór. Wyczułeś go...

– Delikatnie emanował. Musiał mieć przy sobie, jak ty to nazwałeś?

– *Vogat*.

– Tak właśnie. Jakiś przedmiot. Najpierw go nie wykrywałem, potem zwiększył swoją moc, by na końcu zupełnie zgasnąć... – Cornelissen zamrugał. – Rozumiesz mnie?

– W każdym słowie. Jego *vogatem* jest tak zwany Całun. Kawałek materiału, serwetka, chustka, cokolwiek czym jest w stanie pobudzić swoje moce...

– Podczas naszej rozmowy Wallace był przez cały czas, wedle mojej oceny, gotowy do ucieczki. Szykował się do użycia... Całunu...

– Nie zdołałby się przedrzeć, w pokojach obok czekali ludzie z siatkami, rozpylaczami farby. Jeśli naprawdę potrafi stać się niewidzialny, byliśmy przygotowani.

Cornelissen wzdrygnął się.

– Niewidzialny Upiór... Co dalej?

Brion zadumał się.

– Będziemy go śledzili, obserwowali dokładniej, niż do tej pory. To nasz cel numer jeden. Jest teraz członkiem naszej jednostki. Będziemy blisko. – Na usta wypłynął mu szelmowski uśmiech.

Cornelissen dostrzegł ten grymas. Przechylił głowę i spytał:

– Co cię tak bawi?

– Cóż. – Brion Kroeger rozparł się w fotelu, położył ręce na kierownicy i nie patrząc na przyjaciela odpowiedział: – Uświadomiłem sobie, że pomimo twojej deklaracji, chyba będziesz zmuszony wypalić w swoim życiu jeszcze kilka papierosów.